

MONETY DZIKICH LUDÓW.



PIOSNKA PSZCZOŁKI.

Ledwie wiosną błysnie słońce
 Promień złoty,
 Już się budzę, już ja lecę
 Do roboty.
 Krążę, fruвам, zbieram wszędzie
 Słodkie miody,
 Żeby w zimie żyć czem miały
 Pszczół narody.
 Wszystkich kwiatów znam kielichy,
 Marna pszczołka:
 Od wspaniałej, wonnej róży
 Do fijołka.
 Znam jaśminy i lilije
 Bielusieńkie
 I lip kwiecia znam perełki,
 Te maleńkie,
 Co rzucają na obszary
 Słodkie wonie,
 Wiem, koniczyn łań szkarłatny
 W której stronie...
 Ledwie słonko błysnie wiosną
 Ja już w drodze,
 Wam codzienną, ludzie, strawę
 Pracą słodzę;
 Pracą żywję nieustanną
 Pszczół narody
 Krążę, fruвам, zbieram wszędzie
 Wonne miody.

T. P.

W północnej Ameryce żyją dotąd nieliczne plemiona Indyan, ludzi koczujących, którzy nie mają stałych miejsc zamieszkania, lecz przenoszą się z miejsca na miejsce wraz z całym swym dobytkiem, i którzy żywią się głównie mięsem upolowanych zwierząt. Skóra ich ma kolor miedzi i dlatego nazywamy ich czerwonoskórmi. Indianie amerykańscy nie znają naszych pieniędzy, a jeśli chcą kupić jakiś przedmiot, płacą monetą, która by dla nas Europejczyków nie miała żadnej wartości; płacą np. muszlami małymi i dużymi, albo też oddają skóry upolowanych zwierząt za szklane paciorki niebieskie, czerwone, zielone, a im paciorki są jaskrawsze, tem więcej podobają się tym dzikim ludom.

Podajemy na jednej rycinie obraz muszli bardzo cenionej przez Indyan, a na drugiej rząd paciorków malowanych, za które znowu afrykańscy murzyni oddają Europejczykom złoty piasek. W Afryce bowiem także i w Australii mieszkańcy naszych pieniędzy nie znają, i nic w tem niema dziwnego; do wyrobu nawet małego pieniążka trzeba maszyn odpowiednich, a dzicy ludzie żadnych maszyn nie znają.



Muszle używane jako moneta.

W Australii bardzo są cenione czerwone pióra, które głowy i szyje przystrajają australczycy, zamieniając między sobą pióra na muszle, lub na czerwoną glinę, zwaną obrą, którą pocierają sobie ciało lub też malują je w różne desenie.

Bardzo też chętnie przyjmują jako zapłatę krzesiwa



Paciorki używane jako moneta.

i wszelkie błyszczące kamyki, na przykład kamienie słoneczne. Gdybyśmy dali Indyaninowi papierowego rubla lub guldena, rzuciłby taki pieniądz, jako dla niego zupełnie nieużyteczny; za to sznur czerwonych paciorek sprawiłby mu wielką radość.

A. M.

ODWAŻNY STERNIK.

(Zdarzenie prawdziwe).

— Kapitanie! — zawołał sternik — czuję swąd przenikliwy, musi się tu coś palić. Wszędzie szukałem, lecz nie znalazłem nigdzie śladu pożaru.

Kapitan obejrzał się naokoło, badawczo wciągając powietrze, ale nic nie mógł wyrzec stanowczego, bo raz zdawało mu się, że nie czuje żadnej spalenizny, to znów, że dym gryzie go w oczy, a on nie może wskazać skąd się wydobywa. Przetrzęsł cały okręt, na próżno! Nigdzie najmniejszego śladu pożaru. Tymczasem dym coraz bardziej począł napełniać cały okręt, za nadejściem nocy woń spalenizny przeniknęła wszystkie kajuty. Nikt już nie wątpi, że okręt gore. Kapitan podchodzi do sternika: wiem gdzie się pali — rzece — obejrzej się, czy nie widzisz płomieni wydobywających się z podłogi, obok koła przy którym stoisz?

— Trzeba przybić do brzegu — woła sternik z przeobrażeniem, pojmując wielkość niebezpieczeństwa i chwytając koło sterowe, a gorące zanosząc modły do Boga, kieruje okręt ku wybrzeżu.

— Boże! — szeptał półgłosem — dozwól mi spełnić mój obowiązek. Polecam ci moją żonę i drobne dzieci!...

Parowiec sunie ku brzegowi pędem strzały. Cała załoga jest w ruchu, majtkowie polewają wodą tylną część okrętu. Na próżno! Płomienie tłumione w jednym miejscu, z większą w drugim wybuchają gwałtownością. Każdy myśli o własnym ratunku, jeden tylko sternik zajęty ocaleniem drugich. Nie zważa on na duszący dym, na palącą się pod jego stopami podłogę, nie ustępuje z miejsca na którym obowiązek pozostać mu nakazuje. Wie, że od niego zależy życie 80 ludzi. Zda się, że nic nie widzi co się koło niego dzieje. Dusza jego skupiła się w oczach. Mierzy wzrokiem coraz to zmniejszającą się przestrzeń, jaka go oddziela od brzegu, nie zmordowaną ręką kieruje statek do lądu.

Nadbrzeżni mieszkańcy ujrawszy płonący okręt, biegną z zapalonymi pochodniami, aby wskazać miejsce najdogodniejsze do wylądowania. Sternik rozumie te znaki, czuje, że płomienie ogarnia jego obuwie, ale nie schodzi z posterunku, aż przybiwszy do brzegu. Wszyscy wyszli z okrętu, jednego tylko sternika wynieść musiano, bo dla strasznego oparzenia chodzić nie mógł. Odzież spadała z niego jak próchno!

Po upływie kilku tygodni sternik powstał z łoża, ale nigdy bez podpory kul chodzić już nie mógł. Kalece niepodobna już było wyżywić rodziny. Ale Bóg nie zapomniał o odważnym człowieku, który spełnił swój

obowiązek: obudził współczucie dla niego w sercach dobrych ludzi, którzy zapewnili mu los, również jak i jego rodzinie.

Henryk Wernic.

OPOWIADANIE DZIADUNIA.

Przepisała Franciszka R.

(Dokończenie).

W kilka tygodni po moim przyjeździe na wieś, przyszła radosna chwila powitania matki mojej; przyjechała niespodzianie. Jakaż to radość była dla mnie!

Płakałem i śmiałem się na przemian, całując moją piękną, dobrą mamusię. Zdarzyło się, że przy powitaniu był obecnym Janek, bośmy się wtedy na podwórku bawili; podniecony szczęściem spojrzałem na Janka stojącego opodal i zawołałem: Patrz, jaka moja mama śliczna, a ty nie masz mamy! Nigdy nie zapomnę bezmiernego smutku, jaki odbił się w oczach Janka, nie powiedział ani słowa, tylko odszedł natychmiast od nas. Pożałowałem zaraz mego powiedzenia, którego zresztą nikt więcej nie zauważył w gwarze zapytań i odpowiedzi, jak to zwykle przy powitaniu bywa. Nie chciało mi się odchodzić od mamy, ale smutne oczy Janka tkwiły mi ciągle w myśli. Wymknąłem się aby go odszukać... obiegłem cały domek gdzie pan Pisarski mieszkał, nigdzie nie było Janka, znalazłem go nakoniec w ustronnym kąciku ogródka: siedział na ławeczce płacząc rzewnie. Pochwyciłem go w ramiona, całowałem, nie miałem dość słów aby go przeprosić. Janek ucałował mnie serdecznie i starając się uśmiechnąć, żartował ze swego mazgajstwa; ale na moją prośbę aby ze mną poszedł do dworu, wymówił się bólem głowy i koniecznością dopilnowania koni przy pojeniu i dawaniu obroku. Odszedłem i po kilku dniach zapomniałem o całym tem przeżyciu.

W następną niedzielę ułożoną została wycieczka do Bochtownicy, mieliśmy jeść obiad w zwaliskach Kazimierzowego Pałacu. Ponieważ najpiękniejsza droga prowadziła wąwozem, a powóz nie mógł przejechać tamte dy, postanowiono zabrać się na wóz. Pyszna to jazda takim wozem wysłanym sianem i kobiercami.

Wujostwo zabrali także Janka; umieściliśmy się obydwaj koło woźnicy, ja miałem dostać lejce na równej drodze. Szalałem z radości. Lubilem wszystkie wycieczki, a ta zapowiadała się rozkosznie. Dzień był prześliczny; wietrzyk łagodził upalne promienie słońca, pola złociły się dojrzałym już żytem lub zieleniły owsami i jęczmieniem, tam znów niebiescił się len, pasem długim rozkwitły; grunt falisty odświeżał coraz nowe widoki, a w dali ukazywały się ruiny na wyniosłym wzgórzu. Znudziło mi się na wozie, który musiał posuwać się po małym po nierównej i górzystej drodze, poprosiłem żeby mi dozwolono iść piechotą; mama i wujenka wołały także przejść się, więc wysiedliśmy wszyscy i szliśmy skrajem lasu, zbierając po drodze jagody lub kwiaty. Na polance, ocienionej z jednej strony dębami, siedliśmy

wypocząć, ale po chwili pociągnąłem Janka na przyległą łąkę na kwiaty; rwałem je całemi garściami i posuwając się coraz dalej nie zauważyłem, że straciłem z oczów nasze towarzystwo a i Janek zatrzymał się gdzieś na ubo-
czu. Mając już pełne ręce kwiatów chciałem ułożyć bu-
kiet dla mamy, siadłem w trawie i rozpocząłem robotę,
gdy usłyszałem jakiś głuchy tentent i jednocześnie krzyk
Janka:

— Uciekaj, Mieczku! uciekaj na prawo...

Obejrzałem się w około i zobaczyłem buhaja lecą-
cego wprost na mnie... Widziałem go doskonale, jak
ze spuszczoneym łbem, z groźnie nastawionemi rogami,
biegł porykując. Zrozumiałem grożące mi niebezpie-
czeństwo... wiedziałem, że on mię temi rogami poszar-
pie... kopytami stratuje; zdawało mi się, że czuję już ból
w całym ciele... zimny pot oblał mi czoło, jakieś czer-
wone płatki zamigotały w oczach...

Nie straciłem zupełnie świadomości, a jednak nie
miałem siły ruszyć się z miejsca, odrętwiałem z przera-
żenia i przymknąłem oczy... Słyszałem krzyki, nawo-
ływania...

Wtem ktoś mię pochwycił i począł biedz szybko,
a za nami tętniało... coraz bliżej... bliżej.

Otworzyłem oczy i zobaczyłem, że to Janek dzwiga
mnie i biegnie z nieporównaną szybkością. Nie wiem
skąd wzięła mu się ta siła!

Dobiegłszy do jakiegoś płotu, przerzucił mię na
drugą stronę, ale sam nie zdołał już przeskoczyć...

Buhaj dopadł go, pochwycił na rogi, podrzucił jak
piłkę i chrapiąc straszliwie deptał go nogami i tacał...
Zdawało mi się, że to wieki trwało...

Nakoniec ludzie nadbiegli z powrozami i drągami;
po chwili udało się im pochwycić i obezwładnić rozwście-
czone zwierzę. Mój biedny Janek leżał pokrwawiony...
bez życia! Dziadunio zamilkł, wzruszenie zatałowało mu
głos, siła wspomnienia strasznego przejścia musiała być
wielką. Dzieci wpatrzone w dziadka, zaszuchane, nie ru-
szały się, a po twarzyczce Julinki biegły łzy perliste. Po
chwili milczenia dziadunio mówił dalej:

Przybiegli zdyszani wujostwo i mama i służba; wi-
dzieli oni wszystko, zanim zdążyli zapobiedz nieszczęściu.
Zakrzętnęli się około Janka... żył jeszcze, ale ocucony
z zemdenia, otworzył nieprzytomne oczy i zamknął je
znow, popadając w odrętwienie. Zrobiono naprędce no-
sze i zaniesiono nieszczęśliwego Janka do młynarza, któ-
ry miał wiatrak w pobliżu. Wujostwo posłali po le-
karza.

Mama i wujenka urządziły postanie i obmyły rany,
a ja płakałem tylko, nieradny, bezsilny...

Janek w gorączce szeptał:—mamo, mamo!—a mnie
serce ścisnęło się coraz większym żalem. Przypomnia-
łem sobie, jak nieraz byłem szorstki, jak raniłem go swo-
ją pychą, jak nie umiałem uszanować jego sieroctwa...
a on dla mnie naraził życie bez wahania... może je
straci...

Uczułem jakim ja małym i marnym jestem w poró-
wnaniu z tym skromnym, ubogim Jankiem!

Wyspowiadałem się przed mamą ze wszystkich win

moich, a ona, ucałowawszy rozpalone czoło tego boha-
tera, przyrzekła, że mu matką będzie.

— Módl się synu — mówiła — proś Boga aby za-
chowwał Janka przy życiu, a postaramy się miłością za-
płacić mu za cierpienie.

Wierzyłem, że mateczka dotrzyma słowa i modli-
łem się gorąco do Tego, w którego rękę było teraz ży-
cie Janka. Przybyły lekarz uznał, że rany nie są groźne,
lecz zapalenie mózgu rozwinęło się z powodu wstrząśnie-
nia. Nazajutrz przewieźliśmy naszego chorego w powo-
zie wystanym poduszkami, powolutku do Woli.

Tam mama i wujenka otoczyły go macierzyńską
opieką a ja nie odstępowałem prawie od jego łóżka.

W tej chwili weszła do pokoju pani Rowieńska,
matka naszej trójki i przywitawszy się z ojcem, prosiła,
aby jeżeli może, opowiadał dalej.

— Ale on wyzdrowiał, dziadunio? — wtrąciła Ju-
linka.

— Wyzdrowiał, moje dzieci, zapalenie mózgu prze-
siliło się, ale osłabienie trwało długo. Dopiero w parę
tygodni mogłem powiedzieć Jankowi o tem, że nie roz-
łączymy się już nigdy, że moi rodzice, będą jego rodzi-
cami.

— Co dalej, dziadunio mój drogi? — prosił Ka-
rolek.

Dziadunio ciągnął dalej:

— Matka musiała wcześniej powrócić do Warsza-
wy, a ja zostałem do jesieni, bo i Janek potrzebował
wzmocnienia. Pokochałem Janka bardzo i przez niego
uleczyłem się na zawsze z pychy. Zapamiętałem dobrze,
iż dostatek i trochę więcej nauki nie stanowią jeszcze
istotnej wartości człowieka; że mężne zaparcie się siebie
nie jest wyłącznym przywilejem ludzi pięknie odzianych.

Karolek przysunął się do dziadunia i w milczeniu
ucałował jego rękę; było to niby nieme przyrzeczenie.

— Nie przeszkadzaj, Karolku, proszę... dziadunio
jeszcze mówi — nalegała Julinka.

— Gdy w jesieni przyjechaliśmy razem do War-
szawy, kochani rodzice powitali Janka jak drugiego sy-
na. Uczyliśmy się razem i Janek dorównał mi prędko
w nauce, często nawet pomagał w odrabianiu zadań, bo
był pilniejszy odemnie. Na wakacje jeździliśmy do Woli
i mama z siostrzyczkami memi przepędzały tam także
lato. Jak nam było dobrze razem; tylko żał nam było
ojca, który zaledwie na krótko przyjeżdżał.

— A w Bochołtowie bywał potem dziadzio? — py-
tała Julinka.

— Bywaliśmy tam nieraz, ciesząc się cudownym
widokiem ze zwalisk zamku i wspominając zawsze, że ta
pierwsza wycieczka wpłynęła bardzo na mój charakter
i dała mi brata ukochanego.

— Pan Jan był potem na wsi, prawda dziadunio —
odezwał się Władek.

— Tak. Po skończeniu szkół ja poszedłem na me-
dycynę, a Janek uczył się agronomii. Potem, chociaż
rodzice chcieli mu dać pieniądze na zapłacenie dzierża-
wy, on ich nie przyjął, tylko objął zarząd Kazimierzowej
Woli i dopiero po kilku latach pracy zaoszczędził tyle,
że mógł wziąć dzierżawę, na której utrzymuje się dotych-

czas. Pracuje ciągle pomimo lat sędziwych i jest szanowany przez wszystkich, a włościacie kochają go jak ojca.

— A któżby nie kochał pana Jana — dorzucił pan Rowieński, wchodząc właśnie do pokoju; — słyszałem, ojczcie kochany, z drugiego pokoju koniec opowiadania, i nie chciałem przerywać. Teraz podziękujmy dzieci razem dziaduniowi — dodał jeszcze, całując ręce sędziwego gościa.

Dziatwa całowała dziadunia, a Julinka zarzuciwszy mu rączki na szyję, mówiła:

— Nie zapomnę nigdy, dziaduniu, że trzeba być dobrą dla wszystkich.

Tymczasem Karolek wymknąwszy się z pokoju, powrócił w towarzystwie dwojga miłych dzieci. Jasnowłosa Janka była w wieku Julinki a Bronek był równieśnikiem Władka. Powitanie było serdeczne i zabawa przez cały wieczór była bardzo ożywioną, chociaż inne dzieci nie przyszły i na dworze szaruga trwała nieustannie.

Od tego czasu Bronek i Janka przychodzili często do pp. Rowieńskich; Bronek uczył się razem z Władkiem a między Julinką i Janką była wielka przyjaźń, z czego cieszyła się najwięcej matka Janki, uboga wdowa, która mieszkając w tymże domu, szcieniem zarabiała na życie.

SZARADA.

dla Komety od Pokrzywy wołyn. z nad Horynki.

*Pierwsze i drugie, to zięć Mahometa,
Przymkiem trzecie znów nauka zowie;
Łatwo zaś wszystko odgadnie Kometa
Gdy myśleć trochę rozkaże swej głowie;
A trudu wiele jej to nie przysporzy,
Gdyż całość, znane, żeńskie imię tworzy.*

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

ułożył Cz. B.

Z następujących sylab: Ud — lon — ne — dyn — i — a — rif — ptak — u — fa — nas — le — te — ułożyć wyrazy:
1. Wyspa kanaryjska. 2. Rzeka w Syberii wschodniej.
3. Miasto w Anglii. 4. Dwie samogłoski. 5. Zwierzę z gromady kręgowych, ciepłokrwistych, zajmujące stanowisko pośrednie między gadami a ssąciami. 6. Spójnik lub trunek. 7. Zaimek osobowy w liczbie mnogiej, 2-gi prz. Pierwsze litery tych wyrazów czytane z góry na dół powinny utworzyć pseudonym korespondenta W. R. lub roślinę z rodziny liliowatych, biorącą swą nazwę z podobieństwa do tureckiego ubrania głowy; końcowe zaś w przeciwnym kierunku także pseudonym, lub nazwę części na które jest podzieloną minuta.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 35-go

Zagadki: K l u c z.

Zadania konikowego:

Kto doje, dopije,
Ten w rozum nie tyje.

Skrzynka do listów.

Kochana **Różowa kokardko**, kto ma dopiero lat 9, ten może nie umieć jeszcze krajać. Cieszymy się bardzo, że paluszek nie został skaleczony przy robocie, więcej jednak cieszy nas jeszcze gotowość skaleczenia paluszka w interesie ubogich dzieci, poparta uwagą, że ranka „prędko się zgoi, lecz rany w serduszkach sierot nie prędko.” Nad taką pocziwą sierotką Mamusia znać czuwa z nieba!

Cz. Bas. wielką nam sprawił przyjemność odezwaniem się po tak długim milczeniu. Czy egzamina dobrze poszły? Zadanie konikowe źle ułożone, konik bowiem zupełnie inaczej skacze, co wytłumaczy każdy, jako tako obeznany z grą w szachy.

Otrzymaliśmy od **Bladej Różyczki**, wypracowanie konkurso- we, przy czym zwracamy uwagę naszych czytelniczek, że konkurs piśmienny ogłoszony został *tylko dla chłopczyków i dla staruszek*; dla panienek zaś konkurs robót, jak zwykle podczas wakacji.

Ach! Pondiszery, dobrze poznajemy dawną znajomą pod nowym pseudonimem. Robótka, choćby nawet nie nagrodzona, zawsze się przyda jakiemuś biedactwu. Czy to nie najlepsza nagroda? Prace, z rodzaju tych, o które pytasz, przyjmujemy... jeżeli są dobre. To jedyny tytuł do pozyskania „sławy” o którą się pragniesz „dobijać.”

Kopciuszek, ośmioletni ślicznie robi, że naśladuje siostrzyczkę w dobrem. Posiadając „Królownę” nie naraziłby ją zapewne na tyle smutnych przygód, ile ich tamta doznała.

Świtezianka, **Kwieciek** **pustyni** i **Werbel domowy**, nadesłały robótki o których losie dowiedzą się w swoim czasie. Dziś, dziękujemy tylko za nie. Sukieneczki nie mogą być nigdy nadto skromne, przeznaczone są bowiem dla bardzo ubogich dzieci, które nie mają się w co odziać. **Werbel D.** niech odczytać zechce odpowiedź daną Bladej Różyczce.

P. Paul. F. Żądanie pani jako zupełnie słuszne i świadczące o gorliwym przyjęciu się obowiązkami, z przyjemnością uwzględnimy.

Jeżeli **Przyjaciółka Mamy** nie popełniła żadnej omyłki, to obliczył Józio że dniem jej urodzin był 13 stycznia r. 1878.

Tak, **Kingo**, niedługo już skończą się wakacje. „Trzeba się uczyć, przeminał wiek złoty” z poetą powtarzam, myśląc o tem, że trzeba będzie wydobyć z szuflady zeszyty, przy których użyteczniej, ale nie tak przyjemnie czas upływa, jak mnie na wsi, a tobie **Przyjaciółko Mamy** w Ciechocinku. Bądź spokojna, parę dni opóźnienia nic nie znaczy. Redakcja nasza nie bardzo sroga.

Ach, **Marzycielko** droga, jak ja się uśmiełam czytając opis twojej przygody z kwiatem paproci! Co to jednak za szkoda, że nie mnie pierwszej przyszedł do głowy tak wspaniały pomysł: byłoby mi się może udało zwieść starsze rodzeństwo? Nie pokazałam im twego listu, niech mam ten figiel w zapasie! Twój kuzynek się pewno nie pogniewa, że od niego pożyczam conceptów. Winszuję ci powodzenia w pracy... jaka też z ciebie pocziwa dziewczynka! Gopłanie podziękuj za pamięć; powiedz, że i ja bardzo lubię grać w krokieta. Przyjaźni się twojej poleca.

Jaskółka.